

10 anty-prezentów gwiazdkowych dla dziecka



Wielkimi krokami zbliża się okres Świąt Bożego Narodzenia, a wcześniej Mikołajki – jednym słowem okres kupowania prezentów gwiazdkowych. Jako że najczęściej uszczęśliwiane w tym czasie będą dzieci, na wielu blogach można już znaleźć gotowe listy inspiracji dostosowane do wieku obdarowywanych i zasobności portfela obdarowujących. Tymczasem ja pomyślałam w drugą stronę – o rzeczach, których kupowanie absolutnie odradziłam wszystkim elfom świętego Mikołaja. Gotowi? Zaczynamy!

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, więc zachęcam Was również do zamówienia **listu i wideo od św. Mikołaja**.

- Tu przeczytacie na czym to polega: **KLIK**
- Tu znajdziecie link do listu: **KLIK**
- Tu znajdziecie link do wideo: **KLIK**

1. Elektronika – tablety, smartfony

O ich szkodliwości czytamy ostatnio wszędzie, mówi się o tym głośno szczególnie w kontekście dzieci. W szkołach presja społeczna rówieśników na posiadanie wszelkiej maści sprzętów elektronicznych jest olbrzymia, ale błagam – nie dajmy się zwariować. Zarówno w przypadku dzieci bardzo malutkich, jak i tych starszych. Bardzo łatwo jest ulec pokusie i sprezentować dziecku gadżet, który zapewni nam wiele godzin spokoju. Ale czy korzyść, którą da on naszemu nielatowi będzie współmierna do naszej korzyści? Szczerze wątpię.



2. Chodzik

Wydawałoby się – świetny prezent dla malucha, któremu nie bardzo wiadomo co kupić. Spokój dla rodzica, radocha dla dziecka, czyli kolejny prezent z cyklu – łatwe, proste i przyjemne. O jego szkodliwości pisała ostatnio dużo Matka Prezesa, o szczegółach dowiedziecie się więc **TU** i **TU**. Dodatkowo, jakby komuś było mało i padłby zarzut, że to mało profesjonalne, zdanie fizjoterapeutki można poznać **TU**. Wydaje mi się, że to wystarczająca ilość argumentów, aby nie wyrzucać

pieniędzy w błoto.



3. Gry komputerowe

Nie wszystkie, ale przede wszystkim te niedopasowane do wieku i po brzegi wypełnione przemocą. Na każdym opakowaniu gry jest oznakowanie od ilu lat w daną grę można grać. Dodatkowo warto kierować się również własnym rozsądkiem. Radość dziecka jest pierwszą i najważniejszą rzeczą, na której nam, rodzicom, zależy. Warto jednak, aby radość ta nie była osiągnana za wszelką cenę.



4. Niebezpieczne zabawki

W tym przypadku nie tylko niedopasowanie zabawki do wieku dziecka może być dla nas pułapką. Przed zakupem wszelkiego rodzaju modnych, pięknych i atrakcyjnych zabawek warto zapoznać się z rankingami tworzonymi przez stowarzyszenie World Against Toys Causing Harm (tłum. Świat przeciwko zabawkom wyrządzającym krzywdę). W zestawieniu z roku 2014 pojawiły się zabawki producentów i dystrybutorów znanych i lubianych, takich jak Skip Hop (też go lubię!) czy Toys R Us, powszechnie dostępnych na serwisach takich jak Amazon czy Ebay. Nie dajmy się zwieść!



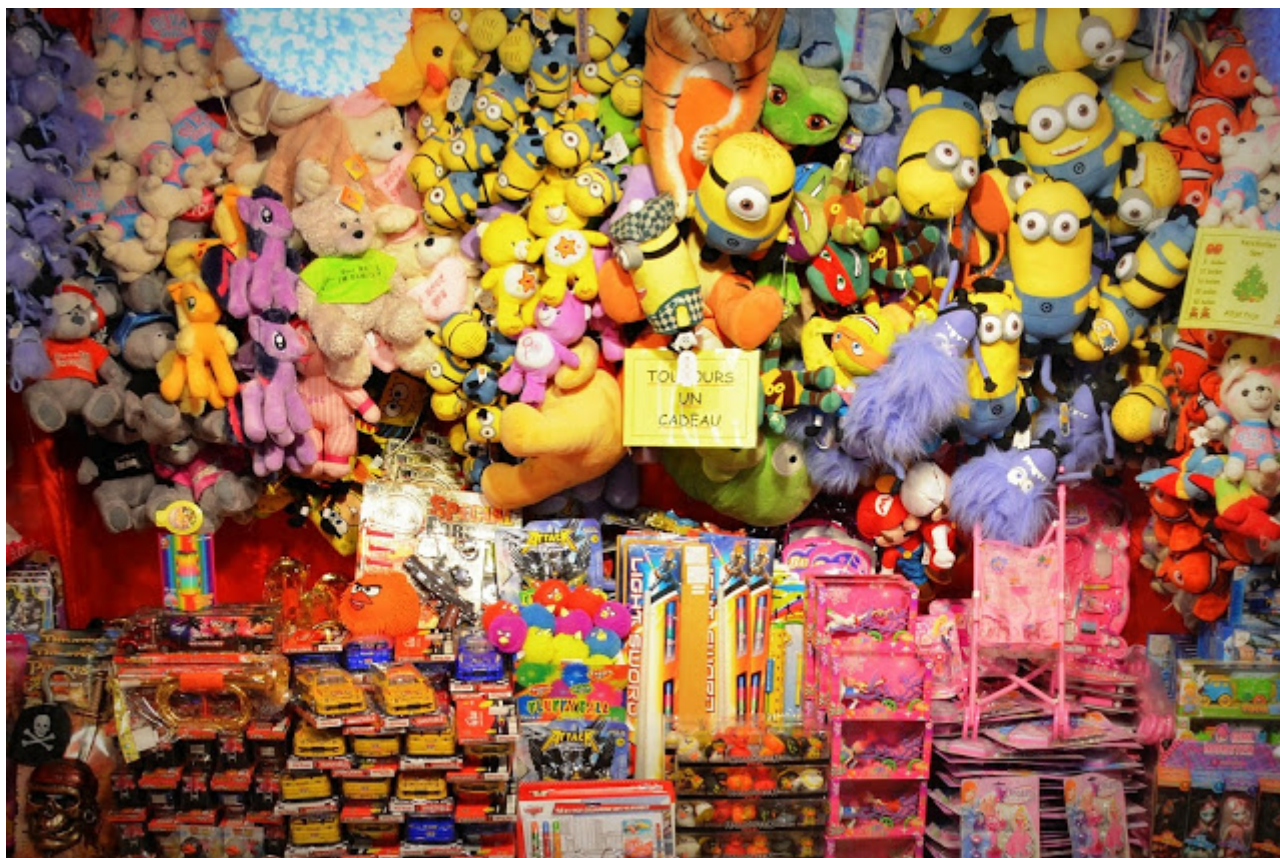
5. Ośmieszające i śmieszne ubranka

Ubrania jako takie są bardzo fajnym prezentem, szczególnie dla maluchów, którym tak naprawdę jeszcze jest obojętne czy dostaną tonę zabawek, czy nie, a rodzicom takiego brzdąca możemy się bardzo takim prezentem przysłużyć. Ale proszę, niech to będą normalne, codzienne ubranka, a nie stroje świętych Mikołajów, które nadają się na jeden raz, lub bluzeczki z głupkowatymi napisami czy grafikami typu goła klata. Nie róbmy z naszych dzieci lalek, bo one też zasługują na to, żeby wyglądać godnie i estetycznie.



6. Tandetne zabawki made in china

Jeżeli nasze możliwości finansowe są ograniczone, warto podwoić wysiłki, aby znaleźć prezent na naszą kieszeń, który nie rozpadnie się po tygodniu użytkowania. Rynek zabawkowy zalany jest tandetą, która nie dość, że po chwili się rozpadnie, to jeszcze bardzo często nie ma żadnych certyfikatów jakościowych, takich jak na przykład **certyfikat CE**. W takim przypadku, jeżeli prezent jest dla malucha, warto rozważyć ubranko lub dziecięcy kosmetyk, który ucieszy rodziców, a dla dziecka starszego rozwiązaniem może być ciekawa książka lub, jeżeli nie chodzi o nasze własne dziecko, podpytanie jego rodziców co sprawiłoby mu radość. Trochę wysiłku włożonego w poszukiwanie takiego prezentu na pewno nikomu nie zaszkodzi.



7. Rzeczy nawiązujące do szkoły i obowiązków

Podręczniki i słowniki są drogie? Myślicie sobie, że Gwiazdka to świetna okazja, aby ten wydatek opłacił się podwójnie? I myślicie, że dziecięciu sprawi to radość? No nie bardzo, jakoś tego nie widzę. Problem polega na tym, że dzieci uwielbiają prezenty, które nie kojarzą im się ze szkolnym czy domowym kieratem. Nawet najlepsi i najpilniejsi uczniowie kiedyś w końcu lubią odetchnąć i oddać się ulubionej rozrywce. Poza tym *come on* – sami byliśmy kiedyś dziećmi. Przypomnijmy sobie – czy takie prezenty nas cieszyły? No właśnie.



8. Słodyczne

Nie wiedzieć skąd i jak, w okresie około-świątecznym w posiadanie naszych dzieci dostaje się cała masa słodczy. To więcej niż pewne, że nasi miłusińscy otrzymają je w przedszkolach i szkołach, od babć i dziadków, cioć i wujków. Nie dokładajmy im więc kolejnych cegiełek do próchnicy i otyłości. Tego typu pokusy już i tak zewsząd bombardują naszych nieświadomych niczego łakomczuszków.



9. Przedmioty codziennego użytku

Kuszą nas tak samo jak rzeczy przydatne do szkoły. Talerzyki, smoczki, butelki – wymieniać można długo, bo rzeczy przydatnych dziecku na co dzień jest cała masa. Ale cóż z tego, kiedy po raz kolejny takimi gadżetami nijak nie sprawimy maluchowi radości? Czy niejadek ucieszy się z zastawy stołowej? Czy ręcznik lub kocyk sprawią radość dziecku, które nie widzi w nich kompletnie żadnego zastosowania przy codziennej zabawie? Po raz kolejny mogą to być rzeczy, które prezentujemy niemowlakowi, ale dziecko starsze, rozumne, może nie umieć jeszcze ukryć swojego rozczarowania. A takie, w moim odczuciu, jest w tym przypadku nieuniknione.



10. Zwierzęta

Punkt ostatni, jak zwykle najważniejszy. Prezent słodki, kuszący, dający gigantyczną radość i ekscytację – żywe zwierzątko. Piesek, kotek, królik, szynszyla – opcji jest wiele. Jeżeli jednak nie mamy pewności, że nasze dziecko podoła obowiązkom z tym związanym, a takowe nie przerosną również nas (nie oszukujmy się, prędzej czy później wyprowadzanie na spacer i czyszczenie kuwety i tak spadną na nas), nie poddawajmy się chwilowej pokusie zakupu zwierzaka w ramach prezentu gwiazdkowego. Święta się skończą, a żywy, czujący i rozumny zwierz zostanie z nami. Czy kiedy przyjdą ferie zimowe lub wakacje nie zorientujemy się nagle, że nie mamy co zrobić ze wspaniałym Bożonarodzeniowym prezentem? Pozostawiam pod rozwagę.



Może się wydawać, że niewiele pozostawiam opcji prezentowych do wyboru. Ależ skąd. Jest cała masa możliwości. Jedyne, o co apeluję, to rozsądek i wzięcie pod uwagę potrzeb i bezpieczeństwa dziecka. Dalej będzie już łatwo.

Powodzenia!!!

Za co kocham moje miasto



*Jesienią zawsze myślę o latach
Tak starych, jak te kamienice
Jesienią o zmroku przechodzę z tobą
Przez pełne kasztanów ulice*

Warszawa to moje miasto rodzinne. Tu się urodziłam, tu się wychowałam, stąd pochodzą moi bliscy. Tak się zdarzyło, że jednocześnie jest stolicą i miastem budzącym wiele kontrowersji, sprzecznych opinii, często niestety krzywdzących i niesprawiedliwych. A przecież to miasto da się kochać, a ta miłość wcale nie jest trudną relacją! Wystarczy wiedzieć gdzie i kiedy patrzeć, wystarczy nauczyć się go słuchać. Z wyrozumiałością i czułością.

Za co więc *Warszawa* da się *lubić*?

1. Za historię

Ludzie patrzą na eklektyczny zlepek architektoniczny, jakim jest Warszawa, twierdząc, że jest brzydki i szary. A przecież przed wojną to miasto nazywane było Paryżem Europy! Wciąż są dzielnice, gdzie wystarczy pójść w piękny dzień na długi spacer, aby poczuć tamten klimat. Zagłębić się w Starą Pragę, Saską Kępę czy Żoliborz, które wiosną i latem są pełne zieleni, a jesienią i zimą oferują przytulne ciepło małych knajpek i kawiarni. Nie da się na Warszawę patrzeć inaczej niż przez pryzmat historii miasta skrzywdzonego i zniszczonego. Starówka, Krakowskie Przedmieście, Nowy Świat, Śródmieście – to wszystko było jedną wielką ruiną, a dzisiaj na powrót dumnie reprezentuje stolicę. Stolicę, którą kocham również za moją własną, osobistą historię. Na Pradze się urodziłam i przez lata mieszkałam, tam wyszłam też za mąż. W Śródmieściu pracuję, tu z XX piętra mam widok na wszystko, co jest mi bliskie. Tu studiowałam, skończyłam żoliborskie liceum. Ta historia jest częścią mnie – jak mogłabym jej nie kochać?



2. Za światła miasta

Nie da się nie zakochać w Warszawie, kiedy po raz pierwszy zobaczy się ją w nocy. Jest miastem światła, neonów, latarni, lampionów, reflektorów, dzięki którym tak naprawdę nigdy nie zasypia. Mamy listopad, zbliża się czas Bożego Narodzenia, kiedy miasto wyjątkowo dba o to, żeby krótsze dni mniej dawały się mieszkańcom we znaki, a wręcz sprawiały im przyjemność. Lada moment ulice rozświecą świąteczne dekoracje świetlne, które z roku na rok są coraz bardziej niesamowite. W tym roku już mój synek jest na tyle duży i rozumny, że będę mogła pokazać mu park świateł w Wilanowie, co niezmiernie mnie cieszy. A kiedy będzie starszy sam na pewno również doceni tętniące życiem nocne, również imprezowe życie stolicy. I pokocha je tak samo jak ja.



3. Za ludzi

Mówi się, że ludzie są tu opryskliwi, nie mają na nic czasu, że Warszawa bywa niebezpieczna. Pewnie bywa, jak wiele innych miast. Nikt mi natomiast nie powie, że ludzie są tu nieżyczliwi. Przykład pierwszy: pokazuję nieznałomej Ukraince drogę do przystanku, pogubiła się, pomyliła części miasta. Na rozstaju dróg dziewczyna dziękuje mi mówiąc, że tutaj wszyscy są tacy pomocni! Że kogo nie zapyta, zawsze służą jej dobrą radą. Przykład drugi: dawniejsze czasy, liceum. Jedziemy rozbawione z koleżankami na starówkę, mijamy pomnik Poległych i Pomordowanych na Wschodzie (do dzisiaj jeden z moich ulubionych). Odzywa się do nas starsza pani: *Pamiętajcie dziewczynki, jak was kiedyś zapytają, żebyście wiedziały. Przyszli do nas z dwóch stron, zaatakowali, zaszczuli. Nigdy o tym nie zapomnijcie.* Nie zapomniałam. Czasami wystarczy posłuchać ludzi, dać im szansę. Kiedy tracą swoją codzienną anonimowość okazuje się, że są prawdziwą wartością tego miasta.



4. Za wszechstronność i dostępność wszystkiego

Lubię Warszawę za to, że mam tu wszystko, czego potrzebuję do życia. Sklepy są na wyciągnięcie ręki, dojazd do każdego punktu miasta ułatwia rozbudowana sieć komunikacji miejskiej (mamy już dwie linie metra i bądźmy z nich dumni!), przychodnie i szpitale są dość gęsto rozsiane, ilość pracodawców jest w pełni zadowalająca. Tutaj nie można się nudzić – atrakcje takie jak kina, teatry, muzea, wszystko to czeka na gości, miejscowych i przyjezdnych. Jest mi bardzo wygodnie z tym, że cokolwiek chcę załatwić, nie muszę się długo zastanawiać gdzie mam jechać. Więc po co jeszcze doszukiwać się jakichkolwiek wad?



5. Za tempo życia

Tak, właśnie za słynne tempo życia również kocham moje miasto. W tygodniu bardzo szybkie – dom-przystanek-praca-przystanek-dom. Nie rozglądam się dookoła siebie, przemykam od punktu do punktu, nie potrzebuję się na dłużej zatrzymywać. Każdy pędzi w swoją stronę, bo gdzieś na końcu trasy ma ten punkt, w którym już pędzić nie musi. A najlepszy czas to ten, kiedy w weekend można zwolnić tak całkowicie, bez konsekwencji i bez stresu. A jeszcze lepsze od weekendów są okresy świąteczne, kiedy miasto pustoszeje, w parkach przemykają tylko nieliczne wiewiórki, a na ulicach i chodnikach nieliczni przechodnie relaksują się od samego patrzenia na ten wyludniony krajobraz. Wtedy Warszawa oddycha pełną piersią, na chwilę się zatrzymuje i przygotowuje do powrotu do swojego codziennego szybkiego rytmu. Kto nigdy nie widział tej wolnej Warszawy, ten nigdy nie doceni w pełni jej piękna.



Jest mi przykro gdy od ludzi, czy to miejscowych, czy przyjezdnych, słyszę, że nie lubią Warszawy. Jest mi przykro, bo utożsamiam się z nią, tu jest moje miejsce na ziemi i trudno mi wyobrazić sobie przeprowadzkę do jakiegokolwiek innego miasta na świecie. Moja babcia, która pochodziła z Powązek, po wyzwoleniu obozu w Ravensbrück mogła wybrać do mieszkania jakiekolwiek miejsce na świecie, ale wróciła tutaj, na ruiny i zgliszczu. Warszawa to dziedzictwo, którego nigdy się nie wyrzeknę. Proszę Was więc z całego serca – spróbujcie mieć do niej tę samą miłość, wyrozumiałość i czułość. Bo w pełni na nie zasługuje.

*Gdy patrzę w twe oczy, zmęczone jak moje
To kocham to miasto, zmęczone jak ja
Gdzie Hitler i Stalin zrobili, co swoje
Gdzie wiosna spaliną oddycha*

T.Love – „Warszawa”



7 rzeczy, których nikt nie powie Ci o macierzyństwie



Nadszedł ten dzień. Zdecydowaliście się starać o dziecko. Nie ukrywajmy – to nie męczyznę w większym stopniu dotknie ta decyzja. Wspaniale, jeżeli w ogóle jest to kwestią decyzji. Czasami ciąża zaskakuje nas pojawiając się bez naszej woli. W obu przypadkach można spróbować przygotować się do nadchodzących zmian jak najlepiej. Kompletując wyprawkę? Również, ale dzisiaj nie opowiem Ci o wyprawce. Dziś powiem Ci

to, czego nikt inny wprost Ci nie powie.

1. Wasz związek zostanie wystawiony na gigantyczną próbę

Przechodziliście już kryzysy? Jeżeli wciąż jesteście razem, to znaczy, że wyszliście z nich zwycięsko. Nic jednak nie wystawi waszych relacji na próbę tak silnie, jak uczyni to wasz pierworodny. Każda sfera waszego wspólnego życia ulegnie zmianie, wasze codzienne funkcjonowanie, wasze rozmowy, wasz podział obowiązków. Wszystko trzeba będzie wypracować na nowo, nauczyć się nowych kompromisów, nowej organizacji, na nowo nauczyć się bliskości. Wielokrotnie się pokłócicie, tak naprawdę bez powodu, albo tylko dlatego, że będziecie już zbyt zmęczeni na inne argumenty. Przed wami wiele ciężkich wieczorów i nocy, wiele rozmów, czasem krzyku i płaczu. Zapomnijcie o wszystkim, co było wcześniej. Czy jesteście na to gotowi?

2. Stracisz całą swoją niezależność

Lubiłaś wieczorne wyjścia? Spontaniczne wypadki? Imprezy co weekend? Co miesiąc radosne eskapady do Sharm lub w Beskidy? Puf! W jednej chwili wszystko to znika, rozpływa się we mgle, przestajesz być panią samej siebie. Wyobraź sobie, że jesteś totalnie podporządkowana, że wszystko, co robisz, jest w 100% nakierowane na jedną rzecz, jedną osobę, która dyktuje Ci warunki i nie uznaje półśrodków i kompromisów. Wszystko, co wcześniej lubiłaś robić, co sprawiało Ci radość, to poczucie wyzwolenia, niezależności, samodzielności i wolności znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Rezygnujesz z tego na długi, dłuuuugi czas. Czy jesteś tego pewna?

3. Twoje ciało ulega bezpowrotnej zmianie

Lubiłaś swoje ciało? Gładki brzuszeczek, jędrne piersi, uda bez cienia rozstępów i cellulitu? Przygotuj się na wszystko, bo tutaj wszystko może się zdarzyć. Aż do terminu porodu nie pojawiła się najmniejsza kreska? Bach! Dzień później nagle

czujesz się, jakbyś pękała w szwach. Myślałaś, że biust jednak zostanie taki jak wcześniej? Niespodzianka, dopada Cię intensywny nawał pokarmowy i patrząc w dół nie poznajesz sama siebie. Karmisz i wydaje Ci się, że jednak fajny masz ten biust, taki duży i sprężysty, i może już tak nawet zostanie? Poczekaj, aż przestawisz dziecko na butelkę. Położne na szkole rodzenia tłumaczą, że kobiece piersi nie osiągają dojrzałości zanim nie spełnią swojej roli. Będziesz umiała w ten sposób dojrzeć? Dasz radę poświęcić swoją fizyczność?

4. Marzenia odłóż na bok

Myślisz sobie – jak tylko urodzi się dziecko obronię licencjata, zrobię magistra, pójdę na kurs językowy, studia podyplomowe, zrobię doktorat! Na pewno uda się we trójkę polecieć do Tajlandii, przecież to nie może być takie trudne? A może jeszcze pójdę na jakiś ciekawy staż, doszkołę się, wykorzystam macierzyński na przebranżowienie?... Stop. Posłuchaj mnie. Patrz mi na usta i powtarzaj wolno i wyraźnie. Nie-dasz-ra-dy. Nie dasz. Wszystko, o czym najmocniej marzyłaś, co w skrytości ducha i w głębi serca planowałaś, zrób przed staraniami o dziecko, bo potem będziesz żałować. Albo pogódź się z tym, że **może** to zrobisz. Kiedyś. Za kilka lat. Albo nigdy.

5. Doświadczysz bólu, którego nawet sobie nie wyobrażasz

Poród to jedno. Owszem boli, boli jak cholera, zarówno ten naturalny, jak i cesarskie cięcie, po którym dochodzi się do siebie jak po każdej operacji, czyli długo i mozolnie. I to, że o tym bólu się zapomina, jest wierutną bzdurą i bujdą na kółkach. Jeszcze długo się nie zapomina, czasem nawet nigdy. Ale kiedy myślisz, że cały ból masz już za sobą, zabawa dopiero się zaczyna. Karmisz dziecko piersią. Już w szpitalu położne będą wyczyniać z Twoim biustem takie rzeczy, które nawet filozofom się nie śniły (a przecież oni byli męczyznami!). Bardzo prawdopodobne, że Twój niewinny bączus pogryzie Cię i porani. Albo że będziesz walczyć, żeby w ogóle łaskawie załapał jak to się robi, żeby wreszcie się najeść. A poza bólem karmienia być może poznasz jeszcze ból wewnętrzny,

burzę hormonów, łzawy ryk do księżyca lub, co gorsza, baby blues i depresję poporodową. Czy Twój próg bólu jest wystarczający?

6. Doświadczysz zmęczenia, którego nigdy wcześniej nie znałaś

Brak snu to nie jest żaden żart. Owszem, śmieją się z niego rodzice, którzy już w tym są, którym już jest to na tyle obojętne, że nie pozostaje im nic innego, jak tylko się z tego śmiać. Ale Tobie nie powinno być do śmiechu, bo nie zaznałaś jeszcze takiego zmęczenia, które sprawia, że przechodzisz w legendarny tryb *mombie* (mom + zombie). Jeszcze nie masz o tym pojęcia, ale jakkolwiek nie będziesz zmęczona i nie będziesz marzyła, żeby chociaż na chwilę przyłożyć głowę do poduszki, przykryć się choćby skraweczkiem kocyka czy na chwilunię przymknąć oczy, to w tym dokładnie momencie poderwie Cię kolejny płacz, kolejne błaganie o jedzenie, kolejna potrzeba dwugodzinnego seansu bujania, tulenia, uspokajania. Powtórzę to jeszcze raz: ludzie bezdzietni nigdy nie będą w stanie wyobrazić sobie takiego zmęczenia.

7. Od teraz nieustająco będziesz się martwić

Płacze? Dlaczego płacze? Co go boli? Może to kolka? Może to choroba? Zabkowanie? Śpi? Dlaczego tak cicho? Czy żyje? Je? Dlaczego tak dużo? Nie je? Co się stało? I tak w kółko, i tak ze wszystkim. W ciąży Twoje zmartwienia się zaczynają tylko po to, aby z czasem narastać i się kumulować. Nigdy już nie będziesz beztroska, nigdy już nie pozwolisz sobie radośnie zapomnieć o wszystkich troskach, zawsze z tyłu głowy będzie ta jedna myśl, jak brzęcząca mucha: Czy moje dziecko jest całe i zdrowe? I drżenie, bezustanne drżenie, i nazbyt bogata wyobraźnia. Stworzysz najlepsze scenariusze, najlepsza będziesz w filmach grozy i kinie moralnego niepokoju. Ale nikt nie da Ci za nie Oscara.

Uf. Przestraszyłam Cię? To dobrze, taki był mój cel. A teraz posłuchaj mnie uważnie jeszcze ten jeden, ostatni raz. Być może zaliczysz wszystkie te punkty, być może kilka, może nawet

żadnego! Tego Ci ze szczerego serca życzę. Ale im lepiej nauczysz się każdego z nich na pamięć, potem powtórzysz jak mantrę, a potem stwierdzisz, że chrzaniś to wszystko, bo w tej chwili Twoim największym spełnieniem może być tylko dziecko, tym lepiej dla Ciebie, bo to będzie oznaczać, że jesteś już naprawdę gotowa. Gotowa na największą miłość, której do tej pory jeszcze nigdy nie zaznałaś, i na największą przygodę swojego życia.

Moje dziecięce TOP 10 – Rossmann

MOJE DZIECIĘCE TOP 10

ROSSMANN

MOTHERATORKA.PL

Niemiecka sieć Rossmann wdarła się na nasz rodzimy rynek drogeryjny silnie i niepostrzeżenie, sprawiając, że nie wyobrażamy sobie zakupów związanych z kosmetykami nigdzie indziej. Wiedziałam o tym już wcześniej, jednak kiedy

urodziłam dziecko, wyjątkowo uzależniłam się od tych sklepów. Można tam dostać praktycznie wszystko, co niezbędne w codziennym funkcjonowaniu z noworodkiem, niemowlęciem i dzieckiem. Co więcej, Rossmann posiada produkty marek własnych, które, jak się okazuje, są naprawdę rewelacyjne. Poniżej przedstawiam więc złotą dziesiątkę moich faworytów.

1. Babydream, chusteczki do pielęgnacji Oil Comfort

Kiedy byłam jeszcze na etapie testowania przeróżnych rodzajów chusteczek nasączanych do wycierania pupy, jakoś tak z automatu chwyciłam za ten produkt, do złudzenia przypominający zwykłe mokre chusteczki Babydream. Jakież było moje zdziwienie, kiedy odkryłam, że chusteczki te wcale mokre nie są, a wręcz przeciwnie! Nie dajcie się oszukać tak jak ja, chociaż było to miłe zaskoczenie. Chusteczek Oil Comfort można używać zamiast oliwki dla niemowlęcia, natłuszczając mu nimi ciało po kąpieli. Bardzo praktyczne i wygodne, a to przecież my – rodzice lubimy, prawda?



2. Pudełko na chusteczki Babydream

Tak, dobrze czytacie, chodzi mi tylko o pudełko. Nie jestem zbyt wielką fanką samych chusteczek – mają nijaki zapach,

szybko wysychają, słabo czyszczą. Ale żeby mieć to pudełko można się poświęcić i kupić jedno opakowanie. Jest bardzo wygodne, lekkie i oczywiście wielokrotnego użytku, a co najlepsze – ma uniwersalny rozmiar, więc mieszczą się do niego każde inne chusteczki nawilżane, w tym moje ulubione lidłowskie Toujoursy. Co również ważne – można z niego zdjąć kartonową ozdóbkę i otrzymujemy gładkie, estetyczne białe – niebieskie pudełko. Przyjemne, proste, tanie. Jestem na tak!



3. Szczoteczka do paznokci For Your Beauty

Trochę się jej naszukałam, ponieważ w moim Rossmannie, nie wiem jak w innych, leżała nie z dziecięcymi produktami, tylko wśród innych narzędzi do pielęgnacji paznokci i stóp. Ale jest, udało się i tak oto jestem posiadaczką niebieskiego hipcia. A że żaden maluch nie lubi czyszczenia paznokci, a żaden rodzic nie lubi czarnoziemu tamże, to można sobie ten przykry moment umilić takim wesołym rozwiązaniem. Mój półtorarocznik *approved!*



4. łyżeczki do nauki jedzenia Babydream

Kombinowałam, próbowałam, testowałam, dorabiałam do tego filozofię. Wierzcie mi – to nie ma sensu. Czy chcecie, czy nie, to wasze dziecko zadecyduje, czy właśnie nadszedł dla niego moment, żeby nauczyć się jeść z łyżeczki. I nieważne tak naprawdę czy będzie to wypasiona designerska łyżeczka za zylion peelenów, czy zwykła, niedroga i bardzo przyjemnie układająca się z ręki rodzica i w buźce malucha łyżeczka Babydream. Używam tych łyżeczek do dzisiaj i bardzo je sobie chwale.



5. Pozytywka Babydream

Znalazła się w tym zestawieniu, ponieważ mam do niej olbrzymi sentyment. Była pierwszym prezentem, który Ignas dostał od babci, jeszcze w szpitalu (oczywiście w wersji chłopięcej – niebieskiej). Ma przyjemną melodyjkę, która nie drażni uszu, ma prosty mechanizm naciągania, z którym Ignas już teraz umie poradzić sobie sam, i jest miękką przytulanką. Bardzo ją lubię.



6. Śliniaki jednorazowe z kieszonką Babydream

Jeżeli kiedykolwiek mieliście taki problem jak ja, to zrozumiecie, dlaczego pokochałam te śliniaki. Ile razy, przy okazji wyjścia lub wizyty, zmagaliście się z brudnym śliniakiem? Co z tym zrobić? Można przetrzeć, ale nigdy nie będzie to na tyle wystarczające, żeby nie zostały żadne resztki. Można wrzucić w jakąś siatkę, ale nikt wam nie da gwarancji, że po powrocie do domu nie zapomnicie o tym sprytnym (fuj!) zawiniątku. Można też po prostu kupić śliniaki jednorazowe i po każdym karmieniu na mieście po prostu je wyrzucić. Genialne!



7. Bezpieczne patyczki higieniczne i płatki kosmetyczne Babydream

Z obu tych produktów korzystam bardzo dużo odkąd urodził się Ignasz. Płatków używałam w olbrzymich ilościach kiedy musiałam zastąpić nimi nasączone chusteczki. Dlaczego kupowałam je w Rossmannie? Bo było mi wygodnie zgarnąć je przy okazji innych zakupów. Czy są dobre? Oczywiście, jak każde inne wszystkich pozostałych marek. □



8. Szczoteczki do zębów Babydream

Silikonowe kupiłam, kiedy moje dziecko zaczęło intensywnie ząbkować i potrzebowało ulgi w tej całej śliniającej masakrze. Pomogły. Potrójny zestaw natomiast stosujemy do dzisiaj. Każdy kolejny etap przybliża malucha do nauki poprawnego mycia ząbków i muszę przyznać, że jest to bardzo sprytnie przemyślane. Nie wymaga od rodzica atakowania bobasa od razu z dorosłą szczotą, tylko krok po kroku daje mu szansę samodzielnego odkrywania higieny jamki ustnej. Jak dla mnie rewelacja.



9. Woreczki na zużyte pieluchy Babydream

Bardzo wielu rodziców narzeka na tak zwane *Paklanki*, mówiąc, że zwyczajnie śmierdzą. Nie miałam wątpliwej przyjemności testowania tego produktu, za to kiedy zakończyłam moją przygodę z koszem Angelcare, zapoznałam się z woreczkami Babydream. Mają dość neutralny, nie drażniący nosa zapach, ale umówmy się – nie kupuję ich, żeby je wąchać. Ratuja mi za to życie, kiedy średnio atrakcyjny zapachowo ładunek muszę wyrzucić do wspólnego kosza na wszystkie śmieci, których nie mam zamiaru wynosić do kontenera za sekundę. I o to w tym właśnie chodzi.



10. Program Rossnę

Tak, wymieniam go jako produkt, i to na dziesiątym, czyli moim

ulubionym miejscu w zestawieniach 10 must have. Program lojalnościowy dla dzieci w Rossmannie uzależnia. Warto wyrobić kartę już w ciąży, bo obejmuje on również produkty dla ciężarnych. Rabat przyznany rodzicowi rośnie z czasem i wraz z każdymi kolejnymi zakupami. W ten sposób stopniowo przez pierwsze dwa lata życia malucha można dojść do 10%, co jest już bardzo przyjemną zniżką i sprawia, że nie ma się ochoty kupować niektórych produktów dostępnych w innych sklepach, bo zwyczajnie się nie opłaca (nawet kiedy, jak na przykład w Lidlu, są akurat na promocji). Żałuję tylko, że Rossmann nie ma takiego samego programu dla dorosłych. Ale trudno, trzeba się cieszyć tym, co jest!



Na koniec zostawiłam sobie jeszcze jeden produkt, którego do tej pory nie miałam jeszcze okazji sprawdzić i pytanie do was: znacie go? Polecacie? Sprawdza się? Chodzi mi o Termoopakowanie na butelkę Babydream. Cena dobra, więc jestem bardzo bliska skuszenia się. Warto?



Zapraszam do grupy mam, w której radzimy sobie, pomagamy i jesteśmy dla siebie przyjazne: **KLIK**. Czekam tam na Ciebie z niecierpliwością!

Matka – wyrzut, matka – zgrzyt



Pracująca matka już zawsze będzie miała wyrzuty sumienia. To uczucie nigdy jej nie opuści, choćby bardzo tego chciała. Gdziekolwiek by nie poszła, cokolwiek nie robiła – gdzieś zawsze będzie musiała coś zostawić, kogoś porzucić na rzecz innych zadań i obowiązków. Coś straci, coś jej umknie, czegoś będzie żałowała.

Gdy wychodzi na poranny autobus, macha dziecku, całuje je w czółko i już wie, że gdy wróci, ono nie będzie takie samo. Będzie trochę większe, trochę mądrzejsze, bogatsze o nowe doświadczenia i umiejętności. Ale już nie takie samo, bo, jak na złość, zmieni się akurat wtedy, kiedy ona nie patrzy.

Gdy zostawi je chore z tatą, babcią, nianią, wyrzut będzie jeszcze większy, jeszcze większy zgrzyt. Zrobi, co może – przed wyjściem da syrop, wytrze chory nos, oczyści zaropiałe oczka, utuli, ale jej myśli w pracy wciąż będą krążyć wokół domu. Czy śpi? Czy je? Czy ma temperaturę? Może lekarz? Wizyta domowa? Gra na dwa fronty. Tu profesjonalizm, skupienie, praca, współpraca, ale czy to się aby opłaca? Tam gdzieś maluch na odległość wygrywa z każdą jej myślą. Dobry w tym jest. Najlepszy.

Gdy zostaje w domu, ma wyrzuty sumienia, że nie poszła do pracy. Kolejne L-4, kolejny strzał w kolano. Wieczna obawa, że jest gorsza, że jest słabsza, bo nigdy już nie da z siebie

tych 100%, które mogła dać kiedyś. Że już nie jest na każde zawołanie, bo każdy dodatkowy obowiązek to o jedną myśl o dziecku mniej, a każda nadgodzina to godzina mniej z rodziną. Każdy obiad zrobiony i zjedzony o 22:00, każda pizza albo kebab na telefon, brak kanapek dla męża, bo nie zdążyła w porannym pośpiechu przygotować do wyjścia do pracy i do żłobka, brak uprasowanej koszuli, czasem nawet brak buziaka na dzień dobry i do widzenia to kolejne zgrzyty. Zgrzyt, zgrzyt, zgrzyt.

A w weekend? Nie zawsze będzie miała siłę na spacer, na wspólna zabawę, czasem po prostu będzie jej się marzyć kanapa i telewizja. Czasem ze zmęczenia coś niemiło odburknie Bogu ducha winnemu mężowi, niesprawiedliwie potraktuje niewinnego brzdąca, źle spojrzy, zrobi zły gest. Ale przecież niespecjalnie, nie celowo. Kolejne wyrzuty sumienia już galopują.

Matki dzisiejszych czasów. W biegu próbują łączyć pracę zarobkową z macierzyństwem, a przecież dwa etaty ledwo mieszczą się w dobie. Nigdy nie będą w 100% matką i w 100% pracownicą, a jeszcze przecież gdzieś tam jest praca dorywcza jako żona, czasem nawet złapie się fucha jako kucharka i sprzątaczką. Będzie robić, co w jej mocy i koniec końców sprawi, że wielozadaniowość zyska nowy wymiar. Napisz raport, zarezerwuj wizytę u lekarza. Zrób prezentację, napisz listę zakupów. Wypełnij zamówienie, zadzwoń do żłobka powiedzieć o nieobecności. Rozlicz rachunki, nie zapomnij o praniu. I tak ze wszystkim, tak już zawsze.

Powie sobie, że przecież godzi wszystko, że daje radę. Bo tak jest. A jednocześnie na każdym ramieniu jeszcze długo odczuje po jednym ciężarku: tu wyrzut, tu zgrzyt. Aż chrzęści w uszach.

Podoba Ci się to, co napisałam? Daj mi koniecznie znać! Możesz to zrobić na kilka sposobów:

- Polub mój fanpage na Facebooku **KLIK**
- Polub ten konkretny wpis lub udostępnij go klikając na ikonkę Facebooka poniżej
- Napisz mi ciekawy komentarz pod wpisem tutaj lub na Facebooku

Będę Ci wdzięczna za każdy taki gest, bo dzięki niemu będę

wiedziała, że moi czytelnicy gdzieś tam są, czytają i podoba im się to, co piszę. Dziękuję!!!

Dlaczego nie obchodzę Halloween?



Odkąd tylko sięgam pamięcią, 1 listopada rodzice zabierali mnie na groby bliskich. Pobudka wcześnie rano, żeby uniknąć tłumów, dosypianie w samochodzie, kupowanie kwiatów, palenie zniczy, potem często jeszcze pańska skórka i obwarzanki, a po powrocie do domu gorąca herbata i odsypianie.

Taką tradycję przejęłam i ja, w tym roku po raz kolejny wybiorę się z moim mężem i z moim dzieckiem, aby na chwilę się zadumać, pomyśleć o naszych bliskich zmarłych, pomodlić się za nich. Wiem, że to niemodne i wstyd się w dzisiejszych czasach przyznawać – jesteśmy ludźmi wierzącymi. Nie walczącymi pod

krzyżem fanatykami i nie babciami w moherowych beretach, po prostu wierzącymi. Może dlatego nasze polskie, katolickie tradycje są nam tak bliskie i jesteśmy do nich przywiązani, bo kształtowały i spajały nas w rodzinnych domach, a teraz są budulcem rodziny, którą wspólnie tworzymy.

Od kilkunastu lat w ten spokojny, pełen refleksji okres przełomu października i listopada szturmem wdarła się też inna tradycja, przez wielu nazywana również świętem – amerykańskie Halloween. Tradycja bardzo radosna i śmieszna, połączona z zabawą i przebieraną imprezą – czymś, co zawsze uwielbiałam. Co więc mi w niej przeszkadza? Co w końcu może być irytującego w nieszkodliwym sposobie na umilenie sobie jesiennych dni? Pech chciał, że święto Wszystkich Świętych koliduje w czasie z Halloween. Że wszystkie te na pewno fantastyczne i prze zabawne przebierane imprezy organizowane są dokładnie w weekend, który w moim zamyśle zawsze był weekendem pełnym wyciszenia, zamyślenia i refleksji.

Pełgający ogień zawsze oznaczał dla mnie palące się na grobach znicze, a nie wydrażoną dynię z wyrytym na dyniowej twarzy grymasem (choć akurat ten aspekt Halloween uważam za najbardziej sympatyczny i klimatyczny). Zmarli kojarzyli mi się z moimi bliskimi, których już z nami nie ma, a nie z kościotrupami i zakrwawionymi monstrami, za które można się w tych dniach przebrać. Słodyczne w tym czasie były dla mnie wspomnianą pańską skórka czy ryżową kulka pod cmentarzem, a nie cukierkami rozdawanymi od domu do domu w ramach *trick or treat*.

Nie neguję i nie potępiam tych, którym Halloween sprawia radość i którzy z ekscytacją w oczach co roku tę dynię wydrażają (masa roboty swoją drogą, podziwiam!), przebierają się i rozdają cukierki (to chyba bardziej pozostawia się dzieciom?). Ja nie umiem się do tego przekonać. Nie potrafię pogodzić wieczorno-nocnej imprezy z wczesno-porannym wyruszeniem na cmentarz następnego dnia, tak jak nie potrafię pogodzić hucznej muzyki i imprezowego nastroju z modlitwą i zadumą. Nie dla mnie takie przeskoki.

Od dłuższego już czasu zastanawiam się też, co zrobię, kiedy za kilka lat moje dziecko poprosi mnie o uszycie lub kupienie kostiumu i zaopatrzenie w torbę *cuksów*, bo kolega, przedszkole lub szkoła organizuje Halloween. Nie sądzę, żebym potrafiła mu odmówić, bo też nie uważam, żeby miała to być zbrodnia

przeciwko ludzkości. Ale wiem, że czeka mnie wtedy wyzwanie, któremu do tej pory nie umiałam sprostać: pogodzenia tradycji z nowoczesnością, akceptacji zmian i utraty części duszy i tożsamości na rzecz obcych mi wartości.

Czy podołam? Zapewne rzeczywistość nie pozostawi mi wyboru. Albo, tak jak wielu innych rzeczy, nauczy mnie tego moje dziecko.

